Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

..The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 7/173 7.8.1946 Rok VII

9D

OKŁADKA: Dwoje Krakowskich Dzieci.

POLSKIE INSTYTUCJE SPOŁECZNE, SZKOŁY, ZWIĄZKI ZAWODOWE I STOWARZYSZENIA, znajdujące się na terenie W. Brytanii, na Kontynencie Europy oraz w innych częściach świata, proszone są o przesłanie swych adresów, numerów telefonów itd., celem bezpłatnego umieszczenia w jednym z najbliższych wydań „Co Słychać" oraz w KALENDARZYKU NA ROK 1947. Listy prosimy kierować do administracji „Co Słychać" — 40 Bruntsfield Place, Edinburgh.

Księgarnia "CO SŁYCHAĆ" — 2 Drumsheugh Place (obok West End'u), tel. 21712 — poleca książki, broszury i wszelkie wydawnictwa w języku polskim i angielskim.

Tamże do nabycia dzienniki, tygodniki i periodyki polskie.

Orzełki, guziki, odznaki, wstążki i upominki.

Administracja Dwutygodnika poleca "ŁATWY PODRĘCZNIK JĘZYKA ANGIELSKIEGO" w 2-ch częściach — 50 lekcji. Cena za część I — 2/-, za część II — 3/-. Obie części samouczka dają możliwości łatwego opanowania języka. Słówka (ogółem ponad 1000) podane z wymową. Łatwe ćwiczenia, możliwe do stosowania w codziennej konwersacji. Wysyłamy pojedyńcze egzemplarze na zamówienie piśmienne z załączonym Postal Orderem na 5/3.

CENA NUMERU 9d. PRENUMERATA PÓŁROCZNA 9/-.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH 10. Tel. 52396.

1. PRZYSZŁOŚĆ DARDANELI

Pragnąc naświetlić Czytelnikom bardzo skomplikowaną dzisiejszą sytuację polityczną na świecie, a szczególniej w rejonach, przylegających do Rosji i jej tak zwanej strefy interesów, streszczamy kilka artykułów, dotykających problemów Bliskiego Wschodu.

Pierwszym z tej serii jest „THE FUTURE OF THE DARDANELLES", ogłoszony na szpaltach doskonale redagowanego miesięcznika „FREE EUROPE", wydawanego w Londynie — autorem którego jest David J. Dallin — Rosjanin, zamieszkały od wielu lat w Ameryce i autor znanych książek — **„The Real Soviet Russia"** i **„The Big Three".** *Artykuł poniższy analizuje z historycznego punktu widzenia dążenie Rosji od czasów Piotra Wielkiego, t.j. na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu lat, do zagarnięcia Konstantynopola, tego ważnego klucza wyjścia na szeroki świat z zamkniętego zupełnie Morza Czarnego.*

Nie ma bodaj na świecie problemu politycznego, bardziej zawiłego i skomplikowanego aniżeli Bosfor i Dardanele.

Wąskie cieśniny, łączące Morze Śródziemne z Marmarą a potem z Morzem Czarnym tworzą nadzwyczajną, naturalną fortecę. Dzięki topografii terenu, obrona cieśnin i odparcie ataku wielkich, nowoczesnych okrętów, jest łatwe nawet dla słabego przeciwnika. Kto włada cieśninami, posiada klucze do jednego z wielkich mórz południowej Europy, wpływa na obronne i zaczepne posunięcia sąsiednich narodów i może regulować ich politykę na Morzu Śródziemnym, a pośrednio nawet na ich światowych szlakach morskich.

Turcja włada tymi cieśninami już od piętnastego wieku.

Przed stuleciami, gdy tureckie imperium wdzierało się głęboko w europejski kontynent a na wschodzie dochodziło do Kaukazu, Morze Czarne było właściwie wewnętrznym morzem Turcji.

Bułgaria, Armenia i Rumunia podlegały wtedy Turcji na zachodzie, na północy zaś panowała ona nad Krymem i żyznymi połaciami południowej Ukrainy.

Kwestia cieśnin była właściwie prosta i naturalna. . Nikt

nie mógł wnosić pretensji o wpływy handlowe na Morzu Czarnym. Żadne państwo nie mogło wysłać swych okrętów przez cieśniny. I to nie tylko Francja i Anglia ale nawet i państwa sąsiadujące. Rosyjski dyplomata Emilian Ukraincef raportował carowi Piotrowi I-szemu już w roku 1700 — „Sułtan uważa Morze Czarne za swoją domenę, do której nie wolno wpływać obcym. Morze to jest jak dziewica, zamknięta w haremie i ukryta przed spojrzeniami przechodniów. Sułtan jest raczej gotów rozpocząć wojnę, aniżeli pozwolić innym narodom na żeglugę po tym własnym wewnętrznym morzu".

Wkrótce jednak, na skutek szybkiej ekspansji Rosji na południe i jej zwycięstw nad Turcją, problem kontroli cieśnin wystąpił na powierzchnię i niepokoi już świat polityczny od połowy zeszłego stulecia.

Tureckie posiadłości wokół Morza Czarnego kurczyły się z każdym rokiem. Rumunia odzyskała niepodległość. Bułgaria stała się wolną. Część Armenii została zagarnięta przez Rosję. W ten sposób wybrzeża Morza Czarnego przechodziły w inne ręce. Trzy narody obok Turcji umocniły się nad Morzem Czarnym i rozbudowały swe porty i marynarkę.

Turcję zepchnięto i pozostało jej tylko północne pobrzeże Azji mniejszej. Pośród czterech narodów z nad Morza Czarnego, Rosja stała się największą potęgą i to potęgą dominującą.

Jej koncepcja rozwiązania zagadnienia cieśnin zaczęła stawać się podobną do poprzedniego skrajnego, tureckiego ujęcia tej sprawy. Z kolei ona chciała mieć Dardanele i Konstantynopol. Jej należały się klucze do Czarnego Morza. Ona pragnęła zagarnąć tureckie posiadłości w Europie, które leżą nad brzegiem cieśnin i uczynić Morze Czarne swoim morzem wewnętrznym.

Tylko rosyjskie okręty wojenne mogłyby przepływać przez cieśniny, a ruch statków handlowych byłby kontrolowany zgodnie z jej interesami.

W historii Bałkan, w okresie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia oraz podczas licznych dyplomatycznych starć z Turcją ten program był stale wysuwany przez Rosję i za każdym razem uruchamiała ona potężną propagandę, aby uzasadnić swe roszczenia. Pewnego rodzaju nawet polityczna ideologia wyjaśniała i uzasadniała te żądania.

Zaczęto przypominać, że już jeden z pierwszych książąt rosyjskich, książę Oleg dotarł przed tysiącem lat do Konstantynopola i zgodnie z legendą zawiesił na bramie tego miasta swą tarczę. A słowianofile twierdzili, że Konstantynopol przejął duchową spuściznę Rzymu, a teraz Moskwa powinna przejąć dziedzictwo Konstantynopola. „Moskwa stanie się trzecim i ostatnim Rzymem" — głosili buńczucznie. „Prawosławie musi walczyć z Muzułmanami w imię chrześcijańskich ideałów i Rosja powinna zatknąć krzyż na świątyni Św. Zofii. Hasła te powtarzano od roku 1917.

Byłoby nieściśle i zbyt powierzchownie przypisywać Rosji dążenie do władania wyjściami na Morze Śródziemne, tylko z powodu jej handlowego i przemysłowego wzrostu. W istocie to dążenie pojawiło się na długo przedtem, nim jeszcze przemysł i handel rosyjski na Morzu Czarnym osiągnęły znaczniejsze rozmiary. Zresztą ruch statków handlowych z Morza Czarnego na Śródziemne odbywał się bez przeszkód od początku 19-tego stulecia.

Propagandę rosyjską i dążenie do zawładnięcia Konstantynopolem możnaby nazwać idealistycznym imperializmem. Był on niemal pozbawiony materialistycznego podłoża, był czymś prymitywnym i możnaby go porównać do krucjaty. Sądzono, że ludzkość i chrześcijaństwo odniosą korzyść z tego poszerzenia się państwa carów kosztem ziemi niewiernych. Wielkość Rosji uważano za proporcjonalną do wzrostu jej terytoriów a wszelkie przeszkody na drodze do ustanowienia „Imperium Trzeciego Rzymu" należało usunąć choćby za cenę wojny.

Gdyby Turcja sama tylko miała opierać się parciu rosyjskiemu, nie wytrzymałaby go napewno. Jest wiadome, że W. Brytania ciągle przeciwstawiała się temu rosyjskiemu dążeniu. Co ciekawsze taka sama była postawa Francji, gdy była ona jeszcze wielką potęgą morską na wschodzie Morza Śródziemnego i sądziła, że wyprze nawet z niego W. Brytanię. Napoleon w swoich pamiętnikach pisze o układach z Rosją:

„Rosja zażądała Konstantynopola, ale nie mogłem go jej ofiarować. Jest on zbyt drogocennym kluczem. Jest wart tyle co całe państwo. Kto rządzi Konstantynopolem, może władać światem".

W układzie tylżyckim z 1807, w tajnej jego części, Napoleon ofiarował Rosji wszystkie europejskie posiadłości tureckie z wyjątkiem Rumelii i Konstantynopola. Wszystkie państwa morskie obawiały się ukazania się Rosji na wschodzie Morza Śródziemnego. Gdy parcie Rosji na Europę zachodnią i Turcję osiągnęło niebezpieczne rozmiary, Turcja otworzyła cieśniny i floty wojenne W. Brytanii, Francji i Sardynii zaatakowały wraz z Turcją Rosję w tak zwanej kampanii Krymskiej (1854 - 1855).

Zagadnienie Dardaneli wyłoniło się raz jeszcze w czasie wojny rosyjsko-tureckiej 1877 - 1878. Turcja została ponownie ocalona przez koalicję wielkich mocarstw z W. Brytanią na czele. To też wydawało się niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla Rosji, gdy w wojnie 1914, stanęła ona razem z W. Brytanią do walki z Niemcami i Turcją i wymogła na swych partnerach obietnicę otrzymania Dardaneli. Rząd brytyjski, obawiając się, że Rosja może sprzymierzyć się z Niemcami lub też zawrzeć z nimi oddzielny pokój, musiał zgodzić się na daleko idące ustępstwa.

W tajnej umowie z marca 1915 W. Brytania wyraziła swą formalną zgodę na zabór rosyjski prowincji tureckiej, przylegającej do cieśniny. Hasłem rosyjskim było wtedy: „Wypędzimy do reszty Turków z Europy“.

Ale był to sukces wyłącznie dyplomatyczny i istniały w Rosji poważne obawy czy rzeczywiście W. Brytania i Francja wypełnią swe obietnice po ukończeniu wojny. Wyrażana też była przez rosyjskie koła rządowe charakterystyczna obawa jeszcze przed wybuchem rewolucji czy zagarnięcie cieśnin wyjdzie Rosji na korzyść. Generał Kuropatkin, dawny minister wojny, radził rządowi rosyjskiemu ograniczyć się do zajęcia brzegów północnych — Bosforu — a nie żądać wszystkich przejść. Pisał on jeszcze w 1910 r. — „Zajęcie Konstantynopola i Dardaneli osłabi naszą pozycję. Gdy zajmiemy Bosfor, będziemy musieli zgodzić się na ustanowienie międzynarodowej komisji dla sprawy Dardaneli i będziemy zobowiązani do przepuszczania statków innych narodów, z wyjątkiem Turcji, na morze Marmara. Zajęcie Konstantynopola i Dardaneli zamiast wzmocnić osłabi Rosję i zmusi ją do długiego orężnego konfliktu celem utrzymania tego nabytku“. Jeden z wysokich urzędników rosyjskiego mi-

nisterstwa spraw zagranicznych N. A. Bazyli pisał w swym memorandum:

„Objęcie przez Rosję władzy nad cieśninami nie jest jeszcze dostateczną gwarancją, że istotnie wyjdziemy ekonomicznie na morze Śródziemne i nie wyklucza skutecznej blokady, zastosowanej w razie wybuchu wojny przez państwo, posiadające dostateczne siły morskie".

Daleko wcześniej, gdy myśl zagarnięcia Konstantynopola i Dardaneli stawała się w Rosji popularną, znany poeta i nauczyciel na dworze cara, Wasyl Żukowski pisze do młodego księcia Konstantego w roku 1945: „Bizancjum jest miastem przynoszącym nieszczęście. Najlepiej będzie dla Rosji, jeżeli nie pozwoli go zająć komu innemu i sama go nie zabierze".

Minister spraw zagranicznych Edward Grey niewątpliwie miał słuszność, gdy poinformował rząd rosyjski, że podpis W. Brytanii pod traktatem z 1915 był wielką niespodzianką. A brytyjski ambasador w Petersburgu zwrócił uwagę Sazonowa, że traktat z 1915 reprezentuje politykę całkowicie odmienną od poprzedniej tradycyjnej polityki rządu brytyjskiego i jest zaprzeczeniem poglądów i uczuć, które dawniej przeważały w Anglii a które dotąd niezupełnie zanikły. Niefortunna wyprawa gallipolska przedsięwzięta jeszcze w czasie zawierania traktatu, była powszechnie uważana, jako usiłowanie stworzenia faktu dokonanego i zajęcia Dardaneli przez Brytyjczyków, wbrew obietnicy danej Rosji. Japoński przedstawiciel wojskowy w Rosji Odagiri, depeszował z Rosji kodem do szefa sztabu generalnego w Tokio: „Operacje mające na celu zajęcie Dardaneli podjęte zostały przez Francję i W. Brytanię po to, aby zapobiedz przekazaniu ich Rosji". Rząd rosyjski tak samo powątpiewał w wartości traktatu. Wiedział on dobrze jak silną przeciw niemu była milcząca opozycja w Paryżu i Londynie. N. Pokrowskij, rosyjski minister spraw zagranicznych raportował carowi na kilka dni przed wybuchem rewolucji: — „Umowa dotycząca cieśnin jest tylko pisaną obietnicą, która stanie się świstkiem papieru, jeśli Rosja nie potrafi okupować cieśnin przed rozpoczęciem pertraktacji pokojowych".

Niemal proroczo rzekł:

„Trudno jest przewidzieć wynik wojny, ale mimo to nie ma się pewności, czy nie nastąpi przeszacowanie politycznych stosunków i czy nowy układ sił nie przeciwstawi się

zabraniu cieśnin przez Rosję. W tym wypadku zmuszeni będziemy czekać na wybuch nowego kataklizmu dziejowego, ażeby urzeczywistnić nasze cele, których realizacja nie jest możliwa w ramach normalnych politycznych układów, jak to wykazała nasza tysiącletnia historia.

Wiele także zmieniło się i w samej Rosji. Zajęcie cieśnin nie było już tak popularne jak przed stu laty. Turcja przestała uciskać słowiańskie narody. Wyzwoliły się one z pod jej władzy. A przede wszystkim Turcja przestała być groźną dla Rosji. W latach 1914 - 1916 tylko partia Kadetów popierała tego rodzaju rządowe aspiracje. Poza tym projekt napotykał na rosnący sprzeciw. Od umiarkowanych Trudowików czyli przedstawicieli świata pracy do skrajnych Bolszewików wszyscy potępiali wojnę zaborczą. Dardanele, jedno z wielu terytorialnych roszczeń, stało się wkrótce w opinii publicznej najoczywistszym i najbardziej widomym przykładem „carskiej polityki zagrabiania obcych ziem".

Różnice opinii wzrosły do wielkich rozmiarów i nabrały znaczenia historycznego, gdy w marcu 1917 wybuchła rewolucja. Rząd Tymczasowy uważał wielki wstrząs za sprawę czysto wewnętrzną. W sprawach zagranicznych trzymał się zasad obowiązujących przed rewolucją t.zn. przymierza z Francją i W. Brytanią i prowadzenia wojny aż do końcowego zwycięstwa. Utrzymywał także w mocy obowiązującej wszystkie jawne i tajne umowy i traktaty, które miały zapewnić Rosji pewne terytoria w Niemczech, Turcji i Austro-Węgrzech. Paweł Milukow wódz partii Kadetów został ministrem spraw zagranicznych. Był on gorącym zwolennikiem polityki Sazonowa z okresu wojny. Wielekroć usiłował on spopularyzować myśl, że Rosja musi powiększyć swe terytoria po zakończeniu wojny na zachodzie i południu.

Ale od początku polityka ta spotkała się z ostrym sprzeciwem wszystkich lewicowych partii. Była ona niepopularna. Uważano że wojna mająca na celu terytorialne powiększenie jest wojną imperialistyczną. Powstał olbrzymi prąd ludowy pod hasłem wojna bez zaborów i odszkodowań. Rósł on i potężniał niezmiernie szybko. W manifeście z 27 marca 1917 niekomunistyczne Rady Ludowe ogłosiły swój program, zwalczający imperializm i zaapelowały do wszystkich ludów świata: „Nadszedł czas, w którym należy rozpocząć walkę przeciw złodziejskim tendencjom rządów... Demokra-

tyczna Rosja nie będzie groźbą dla cywilizacji i wolności". W manifeście tym były silne tony przeciw programowi polityki zagranicznej Tymczasowego Rządu. Aleksander Kiereński, jedyny przedstawiciel lewicy w rządzie, był jednocześnie wice-przewodniczącym rad. W jednym z pierwszych swych oświadczeń jako minister podjął on sprawę programu polityki zagranicznej i zażądał on nie tylko niepodległości Polski i Armenii rosyjskiej, ale wyrzeczenia się Dardaneli i przyległych prowincyj. W zamian zaproponował międzynarodową kontrolę cieśnin. Jego wywiad z korespondentem londyńskiego dziennika wywołał ogromne zainteresowanie w W. Brytanii. Nawet rosyjski ambasador w Londynie pytał Milukowa, ministra spraw zagranicznych, czy należy oczekiwać zmiany rosyjskich roszczeń terytorialnych. Ale Milukow polecił ambasadorowi, aby wyjaśnił, że tego rodzaju sugestie są nieścisłe. W nocie swej do rządów alianckich z maja 1917 Milukow ponownie stwierdził, że rząd rosyjski jest zdecydowany doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca, ale również chce zabezpieczyć sobie pokojowe gwarancje i uzyskać sankcje. Ponieważ tego rodzaju formuła zawierała również żądania zmian terytorialnych, oświadczeniem Milukowa spowodowało pierwszy wielki kryzys Rządu Tymczasowego. Piętnastego maja 1917 Ludowe Rady wydają nową proklamację, stwierdzającą że programem robotników wszystkich narodów winien być pokój bez zaborów terytorialnych i odszkodowań, który jedynie będzie pokojem trwałym. Milukow musiał ustąpić.

W tymże czasie ruch ludowy wzmocnił się ogromnie. Partia bolszewików pod wodzą Lenina rosła z dnia na dzień. Również i ona popierała program pokoju bez zaborów i odszkodowań i zwalczała dążenia do zagarnięcia Dardaneli. Lenin pisał w „Prawdzie" z dnia 22 kwietnia 1917 r. — „Nie chcemy walczyć po to aby posiąść Konstantynopol, zdławić Persję, lub złupić Turcję. Żądamy aby Rząd Tymczasowy wyrzekł się wszelkich pretensyj terytorialnych".

Nowy minister spraw zagranicznych Michał Tereszczenko zawiadomił oficjalnie rządy alianckie, że Rosja wyrzeka się swoich roszczeń terytorialnych i prosi o zwołanie konferencji między-alianckiej dla rozważenia celów wojny.

Dok. nast.

2. CZOŁOWI LUDZIE J.K.

Kto z nas od dzieciństwa nie marzył o świetnej przyszłości? Komu nie zdawało się w okresie dochodzenia do pełnoletności, że świat kiedyś będzie do niego należał?

Przy bliższym jednak zetknięciu się z rzeczywistością wszystkie marzenia przeważnie pozostają w „krainie marzeń" i tylko może jednemu na tysiąc udaje się wybić nieco ponad szary tłum.

Ale czy wielu jest ludzi, których szczęście czy zalety osobiste wybijają na czoło tysięcy, a czasem i milionów innych?

Na to pytanie Czytelnik znajdzie doskonałą odpowiedź w artykule „TOP MEN" C. Patrick Thomsona, wydrukowanym w ciekawym czasopiśmie brytyjskim Britannia and Eve, a przez nas poniżej streszczonym.

Przemysł brytyjski uzależniony jest od najgłówniejszego surowca miejscowego t.j. węgla. Roczne wydobycie tego produktu ziemi przynosi około 200 mil. funtów, możnaby je jednak podnieść do trzystu. Eksport, wynoszący obecnie 30 milionów ton, również dałby się powiększyć do 80 milionów, bez obawy przesycenia rynków zamorskich. Przemysł węglowy potrzebuje jednak unowocześnienia, uzupełnienia i ożywienia.

Człowiek któryby się podjął zadania, nie został jeszcze wyznaczony na to stanowisko, choć już mówi się o jego płacy, mającej wynosić od 15 do 20 tysięcy funtów rocznie. Nie ma teraz nikogo w W. Brytanii, kto by pobierał taką gażę, chociaż w przedpodatkowych czasach istnieli ludzie, którzy razem z procentami od sprzedaży, zwrotem kosztów, itd. dociągali nawet do 50 tys. funtów rocznie.

Gwiazdy i gwiazdorzy z Hollywood mają gaże nieporównanie większe, a przemysłowcy amerykańscy zarabiają jeszcze więcej. Prezes wielkiego koncernu tytoniowego potrafił wycisnąć w „dobrym" roku do 400 tysięcy funtów, a jeden z magnatów stalowych osiągnął 200 tysięcy. Szef wielkiego domu handlowego podziękował za posadę, gdyż swoje 20 tysięcy funtów rocznie uważał za niewystarczający bodziec do pracy.

Jeśli zważymy trudności brytyjskiego zagadnienia węglowego i jego możliwości, musimy dojść do przekonania że człowiek, który potrafi podciągnąć produkcję do dawnej wysokości, a może nawet przekroczyć ją, wart jest co najmniej 50 tysięcy rocznie.

Jakież są właściwości i zalety takiego człowieka? Jakie są, ogólnie rzecz biorąc, kwalifikacje dobrego kierownika jakiegoś przedsiębiorstwa, lub kogoś na wysokim stanowisku? Ile należałoby płacić takim ludziom?

Czy osiem tysięcy funtów, które pobiera premier W. Brytanii to mało, a 60 tysięcy rocznego wynagrodzenia Claudette Colbert w 1945 w Hollywood, to dużo?

Jeśli zechcemy rozwiązać to zagadnienie, napewno zbłądzimy w dżungli wartości człowieka, ocenianych, jakże niedokładnie wynagrodzeniem, przez niego pobieranym.

Odpowiedź na to pozornie proste pytanie nie jest łatwa.

Autor artykułu starał się w ciągu długiego czasu zbadać, co jest przyczyną powodzenia ludzi, będących „u góry". Wypytywał wielu z nich o to.

Jeden z nich szef wielkiego przedsiębiorstwa, które miało w ubiegłym roku około trzy czwarte miliona funtów czystego zysku oświadczył, że najważniejszą cechą człowieka, który wypłynął na szczyt, jest pewność siebie. Na potwierdzenie podał zdarzenie ze swego życia.

Było to w początkach jego kariery, gdy pracował jeszcze jako agent handlowy, zbierający zamówienia. Nie mogąc dostać się do kierownika jakiejś firmy, napisał do niego kartkę z zapytaniem: — Jak powodziłoby się panu, gdyby pańscy pracownicy byli tak traktowani jak pan potraktował mnie? Szef wypadł wściekły, ale po chwili się uspokoił, przyznał rację i dał mu wyjątkowo duże zamówienie.

Drugą podobną historię, potwierdzającą tezę spokoju i pewności opowiedział Bernhard Baron, prezes i akcjonariusz wielkiego przedsiębiorstwa tytoniowego.

Zdarzyło się, że przedsiębiorstwo z którego zarządu ustąpił, wpadło w trudności pieniężne. Zakupiło ono po wysokich cenach duże zapasy liści tytoniowych, które zaczęły spadać. Wezwano Barona na ratunek. Najprzód pocieszył on kierownictwo firmy uwagą, że najważniejszy konkurent popełnił ten sam błąd, tylko jeszcze na większą skalę.

„Musimy" — powiedział — „obrócić to chwilowe niepowodzenie na własną korzyść. I zamiast starać się pokryć jakimś sposobem straty, włożył cały swój majątek w zakup tytoniu, którego ceny bardzo spadły.

Ale jak to zwykle bywa z cenami, po spadku nastąpiła zwyżka. Trzeba było wprawdzie czekać na to dwa lata ale w końcu firma stanęła mocno na nogach, a Baron zrobił majątek, sprzedając z kolei tytoń swoim konkurentom, ale tym razem już po dobrej cenie.

Naturalnie na pojęcie pewności składa się dużo czynników. Nadmierna pewność bywa zgubą dla wielu.

W pierwszym przykładzie była ona skojarzona z dużą umiejętnością przekonywania i miłą powierzchownością, w przeciwnym razie nasz przemysłowiec przy spotkaniu z zagniewanym szefem zleciałby napewno ze schodów.

Tytoniowiec natomiast posiadał zdolność chłodnej oceny sytuacji, będącej rezultatem inteligencji i doświadczenia.

Sama pewność siebie nie wiele by mu pomogła. Musiał on rozumieć tę sytuację. Doświadczenie zaś zdobył, pracując w fabryce papierosów w Niemczech, a potem w Stanach, gdzie sam zaczął je wyrabiać i sprzedawać. Nie ryzykował tedy na ślepo. Wiedział dokładnie co robi.

Obaj przemysłowcy posiadali coś, co nazywamy „żyłką do interesów". Jest to zdolność, różniąca się od umiejętności kalkulacji liczbowych, lub matematycznych.

Matematycy rzadko są dobrymi finansistami i tylko wyjątkowo zdarza się im zrobienie dobrego interesu.

Mamy wprawdzie przykłady, że urzędnik z wydziału rachuby Amerykańskiego Towarzystwa Telefonów i Telegrafów przeszedł do wydziału statystycznego a w końcu został szefem przedsiębiorstwa z płacą 50 tys. funtów rocznie.

Ale naprzykład taki Laurence Ottinger rozpoczął przedsiębiorstwo drzewne za pożyczone 100 funtów, a obecnie jest szefem firmy, sprzedającej wyroby z dykty za osiem milionów. Przemysłowiec ten twierdzi, że oblicza każde swe posunięcie i robi tylko „murowane" interesy.

Tej zdolności kalkulacji i obliczania szans nauczył się, gdy w ciągu roku utrzymywał się z gry w karty (oby tylko nasi czytelnicy nie przecenili tego szczegółu).

Mimo jednak tych dwu przykładów jest rzeczą niewątpliwą, że Einstein spowodowałby bankructwo wielu firm, które są świetnie zarządzane przez ludzi, mających o pierwiastkach bardzo mgliste pojęcie. Matematyka bowiem, podobnie jak muzyka od pewnej granicy wkracza w dziedzinę mistyki, gdzie oczywiście nie ma miejsca dla interesu.

Wydaje się natomiast, że buchalterzy, którzy właściwie nie mają z matematyką wiele wspólnego, a wiedzą dość dużo o przedsiębiorstwie w którym pracują, często obejmują jego kierownictwo, gdy uda im się ocalić firmę od krachu.

Naturalnie nie jest to zasadą.

Równie słusznie moglibyśmy twierdzić, że droga do sławy literackiej wiedzie przez medycynę, gdyż Somerset Mawgham, Conan Doyle i Cronin byli lekarzami. Dziennikarstwo, choć dało wielu znakomitych ludzi przemysłu i handlu również nie jest konieczną odskocznią powodzenia w tych dziedzinach.

Jest rzeczą interesującą, że pierwsze zajęcie, czy zawód nie zawsze jest drogą na której osiąga się powodzenie i karierę.

Lord Geddes do 40-tego roku życia był profesorem anatomii, a potem rzucił się w wir interesów i wypłynął jako prezes wielkich kopalni miedzi w Rhokana i Rio Tinto.

Lord Morne wykładowca filozofii został kierownikiem olbrzymiego koncernu górniczo-bankowego z pensją 20.000 funtów.

Nawet Lord Woolton, który wykładał ekonomię, porzucił katedrę dla kierownictwa wielkich zakładów handlowych a w czasie wojny został ministrem wyżywienia.

Don Nelson, chemik z wykształcenia, zamierzał poświęcić się nauce i zostać profesorem uniwersytetu. Ale kłopoty pieniężne zmusiły go do pracy w laboratorium zakładów przemysłowo-handlowych — Sears Roebuck. Kierownik zakładów szybko zwrócił uwagę na bystry analityczny umysł chemika. Powoli wciągnął naukowca w zagadnienia obrotu i sprzedaży i wkrótce Nelson wypływa na pełnych żaglach jako kierownik przedsiębiorstwa z pensją 30 tys. funtów rocznie. Ten sam Nelson w czasie obecnej wojny był kierownikiem całej produkcji wojennej U.S.A. I jak wiemy doskonale wywiązał się ze swego zadania.

A więc jasny, szybki i systematyczny umysł jest podstawą powodzenia. Ale to nie wszystko.

Równie ważną jest umiejętność dobrania zespołu, który zechce włożyć w pracę wszystkie swe zdolności. Jeden z wielkich przemysłowców, zostawszy ministrem, przeprowadził niemiłosierną „czystkę“ pośród współpracowników. „Jeśli mnie nie polubią, to przynajmniej będą się mnie bali“ — powiedział. I rzeczywiście bano się go.

W podobny sposób Montgomery zmontował swój zespół. Składał się on ze speców, którzy niezawodnie wykonywali każde zadanie. Monty zaś wiedząc, że może na nich polegać, nie wtrącał się do ich pracy, nie trwonił energii na drobnostki i mógł skoncentrować się na doniosłych zagadnieniach.

Z kwestią zespołu stykamy się, obserwując ciekawe dzieje zakładów przemysłowych Forda. Zakłady te są oceniane skromnie na 750 mil. funtów, wyrosły z małej fabryki, wybudowanej kosztem 40 tys. funtów. Stary Ford sądził, że dla osiągnięcia sukcesu najważniejszą jest umiejętność odbierania ciosów. Mądrość, pieniądz i zdolności to rzecz drugorzędna. Grunt to mocne „kości“.

Ale mimo tej filozofii Ford tracił odbiorców. Wozy jego dawniej stanowiły 40% całej produkcji Stanów, ale stopniowo cyfra ta spadała aż osiągnęła 19%. General Motors i Chrysler wypierały powoli sędziwego przeciwnika. Ale w końcu zeszłego roku nastąpiła zmiana.

Wnuk Henryka I Henryk II Ford objął kierownictwo i zmienił zespół. Wielu weteranów musiało ustąpić, a na ich miejsce na kluczowe stanowiska przyszli bystrzy i młodzi ludzie.

Porozumiał się on osobiście z setkami z pośród tysięcy swych sprzedawców, zmienił politykę ze światem pracy, dając podwyżkę płacy, sięgającą 10 mil. funtów rocznie, zbudował kosztem pięćdziesięciu milionów funtów cztery nowe zespoły do montażu taśmowego i w wyniku wygrał wyścig o rynki zbytu. Pewność siebie i otwarta głowa, oto warunki sukcesu.

Tak tedy doszliśmy do punktu wyjścia.

Naturalnie musimy dodać do tego idee i pomysły.

3. „GENERAŁ MICHAJŁOWICZ I TITO“ *Kr.S.*

Jakkolwiek prasa w wydawnictwach angielskich i polskich już kilkakrotnie podawała artykuły i wypowiedzi na temat tych 2-ch przewódców Jugosławii, warto dorzucić jeszcze i niniejszą notatkę, dobitniej ujętą, tym razem z WORLD REVIEW.

Artykuł jest tym bardziej ciekawy, że w przybliżeniu naświetla poniesione straty przez naród jugosłowiański w czasie minionej wojny oraz dorzuca nowe szczegóły o tak tragicznie zamordowanym gen. Michajłowiczu.

Tito, ten nowoczesny Macchiavelli, nie przebierał w środkach, by utorować sobie drogę do władzy. Nie było chyba partii czy organizacji w Jugosławii, z którą by nie zawarł umowy, po to tylko, aby swych sprzymierzeńców porzucić w momencie, gdy tylko przestali mu być potrzebni. Zgadzał się na wszelkie warunki oraz przysięgał i przyrzekał według wszelkiego rodzaju demokratycznych formułek i ku zupełnemu zadowoleniu majora Randolpha Churchill'a i innych łatwowiernych obserwatorów z Zachodu. Potrafił oszołomić świat, otoczywszy się kołem samozwańczych generałów i mianując siebie marszałkiem. Do szeregów swych werbował i wcielał męty społeczne. Brał do służby powszechnie znanych kolaboracjonistów z Niemcami, nazywając ich demokratami. Krzykliwą i kłamliwą propagandą, roztrąbioną na cały świat potrafił stopniowo przekonać zagraniczną prasę, a co najważniejsze przewodników politycznych Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. Winston Churchill i syn jego Randolph, ministrowie królewskiego rządu Jugosławii, Subasicz, Sutej, Milan Grol, a nawet sam król Piotr — do wszystkich tych ludzi Tito apelował w imię celów wyższych, gdy tylko czegoś od nich potrzebował.

W całej tej tragicznej historii, co możemy nazwać ironią losu, faktem jest, że Tito doszedł do władzy w Jugosławii nie dzięki poparciu lewicy, lecz właśnie prawicy! To nie kto inny, jak Winston Churchill, brygadier Maclean, Leopold Amery i Seton Watson, jako członkowie brytyjskiej misji dołożyli ręki do obecnej tragedii tego kraju. Również konser-

watywni politycy jugosłowiańscy w kraju i na wygnaniu, oraz wpływy katolickie w bryt. Foreign Office dopomogły do umocnienia stanowiska Tity.

Być może, że zasadniczym punktem konfliktu między Michajłowiczem a Tito był spór co do sposobu prowadzenia walki z Niemcami. Tito, jako agent Moskwy, przyjął zasadę podyktowaną przez Związek Sowiecki, t.j. żeby pomagać Rosji, trzeba bić wroga otwarcie, przy każdej nadarzającej się okazji i to bez względu na straty, jakie naród jugosłowiański będzie ponosił. Generał Michajłowicz natomiast uważał, że jedyną taktyką w nierównej walce z przeważającymi siłami wroga, jest sabotaż wojennego wysiłku okupanta. Sabotaż, dokonywany w taki sposób, by nie powodował odwetu na bezbronnej ludności. Akcję zbrojną podejmował tylko tam, gdzie z góry mógł liczyć na wynik pomyślny, zyskując wiele kosztem małych strat. Z takiego prowadzenia akcji zbrojnej można było wnosić, że gen. Michajłowicz pragnął zachować główne swe siły, by użyć je dopiero wtedy, gdy nadejdzie właściwa pora ataku. W swym nader trudnym położeniu całym sercem służył Jugosławii, a jego rywal Tito — wyłącznie tylko Związkowi Sowieckiemu.

Wojska Tity, to przeważnie wędrowne oddziały miejskich proletariuszów, wykolejonych studentów i bezrolnych włościan. Armia gen. Michajłowicza, to w większości wojska regularne, składające się z mas chłopskich Serbii, Bośni, Hercegowiny i Montenegro pod dowództwem kadry zawodowej. Najbardziej też ucierpiała ludność tych właśnie prowincji Jugosławii, kiedy Niemcy z zemsty i często za najdrobniejsze wykroczenie dokonywali krwawych masakr na mieszkańcach wsi i miasteczek, rabując przy tym cały ich dobytek. „Czetnicy“ Michajłowicza poznali na własnej skórze terror okupanta, więc w razie niepewnych szans zwycięstwa, raczej unikali zbytecznej prowokacji i jawnej walki.

Natomiast „Partyzanci“ z oddziałów Tity nie mieli takich skrupułów, bo uważali, że nie ich życia były w niebezpieczeństwie i nie ich wsie palone czy dobytek rabowany. I tak jesienią 1941 roku, „Partyzanci“ przeprowadzili akcję na oddziały niemieckie, stacjonowane w pobliżu miasteczka Kragujevac, t.j. w samym sercu Serbii. Zabito 10-ciu Niemców, raniąc 26-ciu. W odwet za ten czyn na ogólną liczbę 8.000 mężczyzn w miasteczku, Niemcy wymordowali 4.000.

Cóż jednak dla „Partyzantów" znaczyło 4.000 Serbów, skoro w rezultacie o 10-ciu Niemców mniej mogło walczyć na froncie sowieckim.

Męstwo i odwaga zawsze oddziaływują i wywołują uznanie i jest rzeczą zrozumiałą, że brytyjscy oficerowie łącznikowi, obserwując działalność „Partyzantów" z pewnej odległości od samej akcji, wysyłali do swych władz raporty, pełne zachwytu dla jednostek Tity. Co jest jednak niezrozumiałe, a nawet błędem nie do wybaczenia, to fakt, że w superlatywach wyrażali się o rezultatach taktyki i strategii Tito. Dane statystyczne, pochodzące właśnie ze źródeł Tity, podają, że naród jugosłowiański na ogólną liczbę 16-tu milionów mieszkańców za cały okres działań wojennych poniósł strat w ludziach około 1.800.000. Z tego w wojnie z Niemcami zginęło około 300.000 w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Natomiast z drugiej strony źródła alianckie podają, że straty niemieckie na Bałkanach wyniosły 30.000 w zabitych i zaginionych. Z tej liczby nie więcej, jak około 15.000 Niemców mogło polec w walkach z „Partyzantami". Jeżeli od 1.500.000 zmasakrowanej ludności cywilnej odejmiemy 400.000 zamordowanych przez Ustaszi oraz na wszelki wypadek trzysta tysięcy zaginionych w innych okolicznościach, to z tego wynika że w związku z akcją Tity zginęło ponad 800.000 ludności jugosłowiańskiej i to przeważnie mężczyzn. Tak w cyfrach przedstawia się mniej więcej prawda o doskonałości wojennej strategii oddziałów Tito.

Jeden z brytyjskich oficerów, przydzielonych do oddziałów Michajłowicza, wyrażał się z oburzeniem o nastawieniu i posunięciach swego rządu. „Z trudnością mogę zrozumieć Anglików i ich zachowanie się po oficjalnym uznaniu Tito. Znane są przecież ostrzeżenia rządu brytyjskiego do narodów Europy, aby opór stawiano w sposób rozważny, bez narażenia się na niepotrzebny rozlew krwi. Zaatakujcie wroga dopiero na dany przez nas sygnał. Jednakże od narodu jugosłowiańskiego' — mówił dalej ów oficer — „domagano się prowadzenia otwartej walki na długo jeszcze, nim sami byliśmy w stanie przyjść im z pomocą".

„Partyzanci" ze swej strony nie szczędzili wysiłków, aby pognębić „Czetników" gen. Michajłowicza w opinii brytyjskich oficerów łącznikowych. Zarzucali ich różnymi doku-

mentami, stwierdzającymi rzekomo współpracę Michajłowicza z wrogiem. Ostatnio reżim Tity opublikował w Belgradzie w formie książki dokumenty, mające służyć jako dowód zdrady gen. Michajłowicza i jego współpracowników. Niektóre z tych dokumentów są oczywistym oszustwem. Inne natomiast, niewątpliwie autentyczne, nie udowadniają niczego. Są między nimi i takie, które wspominają jedynie że nieliczni podkomendni gen. Michajłowicza starali się o nawiązanie kontaktu z Niemcami. W żadnym wypadku jednak dokumenty te nie stwierdzają winy Michajłowicza. Faktem pozostaje jedynie, że walki między „Czetnikami" a „Partyzantami" miały miejsce. Dlatego też trudno zrozumieć zawarte w tej książce intencje. Tito sam przecież w rozkazach swoich wymienia często walki z „Czetnikami", w tym dwie generalne ofensywy przeciwko nim.

Trudno się dziwić, że w takich okolicznościach chłopi serbscy nienawidzili „Partyzantów" na równi z Niemcami i t.zw. Ustaszi. Pierwszą czynnością „Partyzantów" w zajętych miejscowościach było mianowanie komisarzy, których sterroryzowana ludność uważała za lokalnych dyktatorów. Dla wzbudzenia większego strachu i posłuchu przeprowadzano egzekucje nie tylko na zdecydowanych przeciwnikach politycznych, ale usuwano i tych, o których nie wiedziano napewno do jakiej grupy politycznej należą. W Londynie te akty terroru i bezprawia nazywano „oswobadzaniem" Jugosławii. Jugosłowanie niestety mieli na to inne określenie.

Nie ulega wątpliwości, że istotnie zachodziły pewnego rodzaju pozory rzekomego porozumienia się lub też kontaktów z Niemcami niektórych nielicznych dowódców gen. Michajłowicza. Jednakże głęboki i ukryty cel takich posunięć trafniej został zrozumiany i oceniony przez wywiad niemiecki, aniżeli przez wywiad brytyjski. Najlepszym dowodem posłużyć może list Hitlera z lutego 1943 r., który Ribbentrop wręczył Mussoliniemu. A oto urywek z tego listu: „Czynione są gorączkowe przygotowania przez czołowych dowódców organizacyj Michajłowicza, mające na celu zniszczenie i rozbrojenie pańskich sił w Hercegowinie i Montenegro. Chcąc uniknąć niebezpieczeństwa, grożącego ze strony tych organizacyj i w przewidywaniu wszelkich ewentualności, wydałem rozkazy zlikwidowania wszystkich jego popleczników, przebywających na terenach okupowanych przez moje woj-

ska. Ostrzegam pana w jego własnym oraz wspólnym naszym interesie, że należy uważać gen. Michajłowicza i jego ruch za zaprzysiężonych wrogów państw Osi".

Cokolwiek mieliśmy do zarzucenia „Czetnikom", czy gen. Michajłowiczowi osobiście, nie wolno nam poddawać w wątpliwość faktu, że „Czetnicy" byli i są ruchem wolnościowym, a nie kolaboracjonistami z siłami okupantów.

Gen. Michajłowicz i jego wojska to wielki wkład do walki o wolność i niepodległość patriotycznych mas chłopów serbskich, jednych z najbardziej demokratycznych i proalianckich ludów w Europie. Potępienie ich kilkuletniego ruchu i tak wybitnej działalności równa się zagładzie całej bez różnicy ludności Serbii. Jeżeli by taki stan miał pozostać, to już w niedalekiej przyszłości srodze się to zemści na zachodnich demokracjach.

4. „MRÓWKI POD SKRZYDŁAMI PTAKÓW" *Kr.S.*

Tę krótką notatkę z życia ptaków i mrówek podaje czasopismo angielskie MEN ONLY.

Dwanaście lat temu w Australii, uczeń szkolny nazwiskiem Peter Bradley, napisał list do pewnego znanego ornitologa o zdarzeniu, podpatrzonym w czasie częstych spacerów za miastem. Pewnego dnia zaciekawiło go dziwne zachowanie się gromady szpaków na mrowisku. Dziobem wybierały one mrówki i kładły je następnie pod skrzydła. List chłopca, ogłoszony w fachowym piśmie, wywołał duże zainteresowanie nie tylko pośród przyrodników i w rezultacie posypały się na ten temat zewsząd ciekawe spostrzeżenia różnych osób. Zostało potwierdzone, że rzeczywiście liczne gatunki ptaków w pewnych okresach chętnie posługują się mrówkami jako środkiem do oczyszczania się z insektów.

Pewien Amerykanin tak oto opisał scenę, którą udało mu się podpatrzyć w swoim ogrodzie. Uwagę jego przykuło dziwne zachowanie się drozda, podskakującego w upatrzonym miejscu na jednym z trawników. Drozd dziobał uparcie ziemię, następnie szybkimi ruchami wtykał coś pod jedno

z lekko rozpostartych skrzydeł i pod ogon. Tak był przy tym przejęty swym zajęciem, że w pewnych momentach tracił równowagę, przewracając się na grzbiet. Czasem znowu wciskał się piersią w trawę, obkręcając się na niej, jak na osi. Po pewnym czasie nadleciał drugi drozd, który spędziwszy poprzednika, wyczyniał te same sztuki na tym samym miejscu. Potem przyfrunął jeszcze jeden i wszystkie trzy zachowywały się w tenże sam osobliwy sposób. Kiedy w końcu odfrunęły, zaciekawiony Amerykanin udał się na miejsce, ażeby poznać przyczynę ptasich figlów. Okazało się, że miejsce igraszek pokryte było setkami mrówek, kręcących się w kółko na przestrzeni mniej więcej kwadratowej stopy.

Innym znowu razem, robotnicy na pewnej farmie, natrafili przy kopaniu na wielkie mrowisko. Dla zabawy położyli na nie puste gniazdo dwuch oswojonych na farmie srok. Sroki, dostrzegłszy to, rzuciły się na nie z piskiem i uchwyciwszy dziobami gniazdo, potrząsały nim jakby chciały rozdrażnić biegające na wszystkie strony owady. Po chwili ku zdumieniu robotników stwierdzono, że sroki zamiast uciec przed mrówkami, zupełnie wygodnie ułożyły się w gniazdku. Odnosiło się przy tym wrażenie, że wydzielany przez kąsające mrówki ostry kwas, sprawia im przyjemność.

Z innego przykładu widać, że nie wszystkie ptaki lubią tego rodzaju bezpośrednią kąpiel w mrowisku. Pewna rodzina posiadała również oswojoną srokę. Ptak ten lubił zbierać mrówki w ogrodzie, lecz następnie, unosząc je w dziobie przylatywał do pokoju, upatrując kogoś z palących fajkę. Usadowiwszy się wygodnie na ramieniu palacza, sroka zmyślnie zanurzała raz po raz dziób w gorącym popiole. Potem „mieszankę", składającą się z mrówek i tytoniu, lokowała pieczołowicie pod skrzydła.

Jest również wiadome, że pewne gatunki ptaków stosują inne zabiegi, jak pocieranie skóry kwasem z rozdziobanych cytryn, jabłek oraz ostrych płynów. Dane te z życia ptaków są prawdziwe, a oparte są na mozolnej pracy wielu przyrodników.

Zastanawiać nas może pytanie, dlaczego ptaki to czynią? Jaki jest w tym cel? Istnieje kilka teorii, tłumaczących dziwne zachowanie się skrzydlatej braci. Jest prawdopodobne, że pełzające pośród upierzenia mrówki gryzą ptaki, a wydzielany przez nie jad dostaje się do skóry i pobudza ją

do silniejszego pulsowania. Być może też, że sprawia to ptakom pewnego rodzaju przyjemność. Napewno każdy z nas zauważył, że ptaki, chowane w klatkach są zadowolone, kiedy gładzi się ich piórka, lub lekko drażni, skrobiąc po łebku. Inne przypuszczenie mówi, że mrówki ulokowane w upierzeniu, oczyszczają ptaki z wszelkiego rodzaju robactwa, gdyż kwas mrówczany — jak wiemy — posiada właściwości antyseptyczne.

Przy tej okazji warto też wspomnieć, że jeszcze obecnie w różnych częściach i zakątkach świata tubylcy układają zakażoną odzież na mrowiskach. Jest to fakt stwierdzony, że odzież tam pozostawiona po pewnym czasie wolna jest od wszelkiego rodzaju insektów. Ten więc prymitywny środek dezynfekcyjny, stosowany instynktem różnych gatunków ptaków ma nawet swe zastosowanie i u człowieka.

5. ANATOMIA POKOJU

Dalszy ciąg streszczenia z książki „Anatomy of Peace", napisanej przez Amerykanina — Emery Revers'a.

Droga do Faszyzmu.

Trudny do zwalczenia bieg wypadków ostatnich kilkudziesięciu lat prowadził wszystkie przemysłowe państwa, tak kapitalistyczne jak i komunistyczne ku absolutyzmowi narodowemu. W krajach, w których panował silniejszy nacisk, zostały otwarcie odrzucone demokratyczne zasady i doprowadzono tam do zorganizowania faszystowskiego ustroju, który uznał państwo największym osiągnięciem ludzkości.

Ten nowy ruch, tak diametralnie sprzeciwiający się wszystkim podstawowym zasadom chrześcijaństwa, socjalizmu i demokracji, rozprzestrzenił się jak płomień po całej kuli ziemskiej.

Jakie znaczenie posiada faszyzm?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie należy przede wszystkim wyzbyć się emocjonalnych uprzedzeń. Nie dojdziemy do niczego, gdy nazwiemy komunistą każdego, kto wątpi w rozum polityki kapitalistycznej, lub faszystą, jeżeli ktoś ośmieli się zaznaczyć że Rosja Sowiecka nie jest bynajmniej

rajem. Musimy przestać wierzyć, że faszyzm jest politycznym narzędziem kilku żądnych władzy gangsterów.

Możemy znaleźć w faszyzmie tak składniki kapitalizmu jak i socjalizmu. Istnieje jednak jeszcze i mistyczna strona tego ruchu. Najlepszą definicję faszyzmu dał Mussolini w swym artykule p.t. „Fascismo", opublikowanym we „Włoskiej Encyklopedii".

Faszyzm według niego jest reakcją, spowodowaną wypadkami dwu ostatnich stuleci. Ludzkość jest zaniepokojona i zrażona z powodu niepewności oraz bankructwa demokratycznego indywidualizmu w okresie współzawodnictwa państw narodowych. Aby skłonić człowieka do wyrzeczenia się indywidualizmu i zupełnego podporządkowania się państwu wzamian za bezpieczeństwo, Mussolini otacza ideę faszystowską mistycyzmem.

„Dla faszysty" pisze on, „państwo musi być wszystkim. Poza państwem nie istnieje dla faszysty nic wartościowego, ludzkiego czy duchowego. W tym znaczeniu faszyzm jest totalitarny... W rzeczywistości państwo jest wyrazicielem etyki narodu i stworzycielem sprawiedliwości."

To oświadczenie stwierdza jasno, że faszyzm nie jest koncepcją gospodarczą. W istocie jest doktryną polityczno-socjalną. Celem faszyzmu jest chęć kompletnego ujęcia życia indywidualnego i zredukowanie jednostki do roli poddanego.

Pomiędzy 1914 a 1942 rokiem, żadne państwo demokratyczne czy kapitalistyczne nie zmieniło swego ustroju na komunistyczny, natomiast około dwudziestu czterech państw stało się państwami faszystowskimi. Rosja, która przy pomocy rewolucji wprowadziła u siebie komunizm, nigdy nie była ani kapitalistycznym ani socjalistycznym państwem; zawsze była krajem rolniczym i feudalnym. Skupiskiem zacofanych ludów, rządzonych przez samowładną autokratyczną dynastię. Od chwili przewrotu komunistycznego, obserwujemy to samo zjawisko co w krajach kapitalistycznych, to samo nieprzyzwyciężone dążenie do biurokratyzowania administracji kraju. Jest widoczne, że w okolicznościach dziś panujących, komunizm dąży w tym samym kierunku co kapitalizm, ku rządom całkowicie totalitarnym.

W ciągu naszego życia widzieliśmy, że kapitalizm i socjalizm prowadził do przewagi państwa t.j. do faszyzmu. Z tego musimy wyciągnąć wniosek, że faszyzm nie ma nic wspólnego z formą systemu gospodarczego, tj. z kapitalizmem czy socjalizmem — ale z ich pochodną — industrializmem.

Prawdziwy konflikt w naszych czasach istnieje nie pomiędzy inicjatywą jednostki a kolektywizmem lub kapitalizmem a komunizmem, ale walka toczy się pomiędzy industrializmem i nacjonalizmem.

Jakiemu celowi służą rywalizacja nienawiści i nieufności między socjalistami a kapitalistami? Jest widoczne że obie strony dążą do faszyzmu i totalizmu. Najwyższy już czas, by ogół zdał sobie z tego sprawę i rozpoczął wspólną walkę o wolność i dobrobyt ludzkości z prawdziwym i wspólnym wrogiem — państwem nacjonalistycznym.

Obydwa obozy zahipnotyzowały się faszystowskim twierdzeniem, że nie ma wolności jednostki bez „wolności" państwa. Oczywiście według teorii faszystowskiej siła państwa jest tylko sprawdzianem suwerenności. Według tego pojęcia, potrzeby nowoczesnego przemysłu winny się zupełnie podporządkować potrzebom wszechpotężnego nacjonalizmu.

Ludność krajów demokratycznych stara się wywnioskować czy niebezpieczeństwo grozi od strony komunizmu czy faszyzmu i wydaje się jej, że posiada wolność decyzji. Tu nie ma jednak wyboru.

Dążymy do faszyzmu. W dużym stopniu już tam weszliśmy. Gdyby nawet rewolucja komunistyczna udała się w tym czy innym kraju, nie zmieniłoby to naszego dążenia ku rządom totalitarnym. Kraje komunistyczne, nawet jeżeli będzie ich więcej, przyłączą się do tłumu prowadzonego przez „przewódcę" — suwerenne państwo narodowe.

Ani indywidualistyczny kapitalizm, ani zbiorowy socjalizm nie mogą działać w ograniczonym terenie struktury państwa narodowego. Obie strony budują faszyzm na pewnych specyficznych podstawach — podstawach wytwarzanych przez nacjonalizm. Nie ma różnicy co wybierzemy. Jeżeli kierujemy się nacjonalizmem dojdziemy do faszyzmu.

6. O WĘDRUJĄCEJ KOTCE *Kr.S.*

Opowiadanie z „Pamiętnika lekarza okrętowego“.

Po raz pierwszy zauważono „Minnie“ w dokach okrętowych Tilbury, niedaleko Londynu. „Minnie“ była naprawdę piękna. Był to okaz nielada, właściwy rasie szaro-niebieskich kotów, pochodzących z Malty. Mocno pogryzione prawe ucho, którego część straciła zapewne w zażartych walkach ze szczurami portowymi, zupełnie nie psuło arystokratycznej jej urody. „Minnie“ przeciągając się leniwie, jakby od niechcenia przypatrywała się zmyślnymi oczami okrętowi. Widocznie egzamin wypadł pomyślnie, bo kotka wprowadziła się na statek. Wkrótce też stała się ulubienicą całej załogi. Nie znaczy to, że zawsze była przyjemna i przymilna. Wprost przeciwnie! Specjalnie bywała nieznośna, kiedy głodna, wrzaskliwie napraszała się o jadło u poczciwego kucharza okrętowego, Charley'a.

W drodze z Tilbury do Sydney w Australii, niektórzy członkowie załogi prześcigali się wzajemnie, chcąc dogodzić pięknej kotce w luksusie i wyszukanym jadle. Łudzono się, że może „Minnie“ zakwateruje się na dobre i pozostanie na okręcie. Daremne to były życzenia! Zaledwie tylko zrzucono pomost z pokładu, pierwsza przed wszystkimi, z zadartym w górę ogonem zeszła na ląd. Niewdzięczne to stworzenie nawet się nie obejrzało i widać było, że nie poraz pierwszy jest już w Sydney.

Pół roku później ten sam okręt zawinął do Szanghaju. Nagle ktoś na pokładzie krzyknął radośnie: „Patrzcie, tam jest Minnie, nasza Minnie!“ — Marynarze rzucili się do burty. U brzegu czekała niebiesko-szara kotka z mocno nadszarpanym uchem. Miaucząc donośnie, przeszła po kładce, kierując się wprost do kuchni. Otarłszy się pieszczotliwie o nogi uradowanego Charley'a, ułożyła się wygodnie na swym starym miejscu tak, jakby opuściła je dopiero wczoraj. Niedługo jednak trwała ta sielanka, bo w Bombaju „Minnie“ znowu zniknęła.

I znowu upłynęło wiele miesięcy. Wyglądano jej w każdym porcie, ale kotki nie było. W tym czasie lekarz owego statku przeniesiony został na okręt ,kursujący na zupełnie innej linii. Zadawało się, że „Minnie“ już nigdy nie zoba-

czy. Pewnego słonecznego ranka, kiedy okręt cumowano do brzegu w San Francisko, ujrzał on nagle w dokach piękne stworzenie o połyskliwym szaro-niebieskim futerku. Dziura w prawym uchu potwierdziła radosne przypuszczenie. Jeszcze chwila i „Minnie“ już była na pokładzie! Wielkimi susami, torując sobie drogę wśród marynarzy, pędziła uradowana, by jak najprędzej powitać starego przyjaciela.

7. LISTY Z KONTYNENTU *(dok.)* *St.K.*

Dobrze jest zaczynać podróż po miastach amerykańskich od Ottawy. Dostatnio budowane i pięknie położone miasto jest spokojne i solidne. Stanowi chyba najmniejszy kontrast z miastami angielskimi. Uderza wielka ilość samochodów, neonowe reklamy biją najbarwniejszą chyba z powojennych stolic Europy — Brukselę, otwarte do późna w nocy sklepy spożywcze i małe jadłodajnie przypominają o tutejszym dostatku. Dostatku nieco ograniczonym. Oficjalne ograniczenia nie są groźne: masło i cukier są na kartki, ale — nie ma ubrań i bielizny. Po prostu nie można w sklepach tego dostać. Nie ma wcale maszyn do pisania, do liczenia, do prania, nie ma samochodów. Wszystko to jest już w produkcji ale braki te dają prawo do narzekania na przykre skutki wojny. „I my także już odczuwamy pogorszenie sytuacji żywnościowej“ — mówi przygodny towarzysz obiadu studiując uważnie spis potraw, w którym jest dwanaście dań mięsnych do wyboru, jaja w różnej postaci bez ograniczeń, kilka legumin i jeszcze dwie strony à la carte. Istotnie — odczuwa się trochę, bo są dwa dni bezmięsne w tygodniu. Trudno przekonać sytego, że w Europie ludzie naprawdę głodują. Trudno udowodnić, że puszka konserw jest jeszcze dzisiaj niezawodnym kluczem do serc ludzkich i do kieszeni. Tym trudniej, że Kanada nie ogranicza zupełnie wysyłki żywności do Europy. Żąda tylko zapłaty.

Po pobycie w urzędniczej, poważnej i zadowolonej z siebie Ottawie francusko-angielski Montreal wydaje się miastem przeniesionym ze starej Europy. Przede wszystkim w masie barwnych reklam, którymi iskrzą się ulice — uderza niespotykany w stolicy napis: „taverne“. Bo Motreal leży

w prowincji Quebec, w której nie istnieje prohibicja. Alkoholu jest w bród, każda niemal herbaciarnia ma prawo wyszynku. A w Ottawie — jak skarżył się z żalem dziennikarz kanadyjski — wracający do domu po pięciu latach wojny w Europie — nie ma nawet jednego lokalu któryby przynajmniej nazywał się „tawerną". Samo słowo jest tam wyklęte. Zresztą klątwa mało groźna, bo oto rzeka nad którą leży Ottawa — jest granicą „suchej" prowincji Ontario i liberalnego, dopuszczającego napoje alkoholowe Quebec. Dlatego też mieszkańcy Ottawy jadają chętnie w restauracjach położonych na drugim brzegu, w Hull, stanowiącym osobne miasto. Obecnie zresztą dni prohibicji są już policzone wobec wniesienia przez rząd projektu uchwały, łagodzącej zakaz wyszynku w prowincji Ontario.

Trudno jest jednak zwiedzać dokładnie Montreal w drodze do Nowego Jorku. To miasto-gigant, niekoronowana stolica sporej części tego świata — przyciąga zbyt mocno, aby zatrzymywać się dłużej poza nim niż to konieczne. Ranny pociąg rusza pod egidą Canadian National Railways aby, zmieniając po drodze aż cztery amerykańskie towarzystwa kolejowe — i przy czterokrotnej zmianie obsługi — dotrzeć bez przesiadania do nowojorskiej Grand Central Station.

W godzinę po wyjeździe zaczynają się tak dobrze znane z Europy a tutaj nieco zapomniane formalności. Więc szczegółowe badanie paszportów i gruntowne przesłuchiwanie na temat celu podróży, znajomych, adresów i pieniędzy. Brak gotówki widocznie niepokoi przesłuchującego urzędnika: „tylko tyle na dziesięć dni? przecież to za mało!" — i dopiero oświadczenie, że się ma tam w Stanach — pieniądze łagodzi go.

Mimowoli nasuwa się wspomnienie podobnej kontroli dewiz na granicy szwajcarsko-francuskiej, gdy żona wojskowego francuskiego, stacjonowanego w okupowanej Austrii — jechała na dziesięć dni do Paryża po zakupy dla rodziny. Z posiadanych przez nią 10.000 frs francuskich pozwolił jej francuski urzędnik zabrać tylko połowę: resztę trzeba było zdeponować na granicy. Co kraj to obyczaj! Rewizja bagażu ma charakter raczej symboliczny. Amerykanie nie boją się przywozu. Ale inaczej przy powrocie. Wtedy Amerykanie w ogóle nie pojawiają się i nie ma żad-

nej z ich strony kontroli. Za to celnicy kanadyjscy przeglądają bagaż skrupulatnie, dokładnie wypytując o przeznaczenie każdej zakupionej rzeczy. Kanada nie chce przywozu, co jest zrozumiałe wobec niższych cen towarów, zwłaszcza ubrań, bielizny i obuwia w Stanach Zjednoczonych.

Dwa są sposoby podróżowania po nieznanych krajach. Sposób rozsądny, polegający na dokładnym przestudiowaniu map i przewodników, opisów i wrażeń, historii i stanu gospodarczego, krótko mówiąc — na „wykuciu“ celu podróży. Sposób drugi — lekkomyślny —jazdy w nieznane. Zdaje się, że najlepsze nawet przygotowanie się do zwiedzania Nowego Yorku musi zawieść, wobec ogromu tego miasta. Nie warto przeto poznawać go teoretycznie. Lepiej odkrywać.

Wszystko co o tym mieście pisano jest prawdziwe. Ale nigdy chyba nie da się całej prawdy wyczerpać. Taka rozmaitość, taka barwność i tak wielkie kontrasty — nie istnieja chyba nigdzie. Miasto jest wielkie. Wielkie są jego ulice, wielkie tłumy w podziemnej kolei, wielki pośpiech i wielki rozmach. Do dziś dnia jest ono miastem wielkich możliwości. Do dzisiaj dnia trafiają się błyskawiczne kariery, dotąd jeszcze nieznany człowiek może się obudzić jako wielkość czy sława. I do dziś dnia jest gdzie niegdzie wielka bieda, o której może nawet najbliżsi sąsiedzi nie wiedzą.

Wprowadzenie się do Nowego Jorku nie odbywa się łatwo. Nie przypomina w niczym przyjemnego, pogodnego zapoznawania się z Paryżem, ani pierwszych kroków w dyskretnym — mimo swej wielkości — Londynie. Nowy Jork uderza przybysza hałasem, wrzawą, ruchem ulicznym, wyglądem domów — ale wszystkim w skali ogromnej, jakby czymś oglądanym przez szkła powiększające przy nastawionych do maximum megafonach. Pierwsze wrażenia przypominają chyba ten niepowtarzalny dreszcz trwogi zmieszanej z jakąś przyjemnością — gdy dobrzy towarzysze rzucają nowego adepta sztuki pływania — od razu na środek głębokiej rzeki. Ale proces asymilacji, przyzwyczajenia się do tego miasta odbywa się szybko, w jakimś rekordowym tempie. Po kilku dniach nowoprzybyły odkrywa wielki urok w nieregularnej masie smukłych, o geometrycznych kształtach drapaczy chmur. Przekonuje się, że nawykł do ruchu i wrza-

wy, że orientuje się w prostym zaiste sposobie numerowania ulic, że opanował nie tylko wstępne tajemnice Sub-way'u — nowojorskiej kolei podziemnej ale nawet umie od biedy jeździć autobusami. Tego nie przeżywa naturalnie podróżny typu „rozsądnego" który z góry wie jak i gdzie trafić przy pomocy przewodnika. I dlatego może — nie przeszedłszy pierwszego okresu wtajemniczania — nie odczuwa zadowolenia jakie dają dalsze kroki.

Bagażowy-murzyn w czerwonej czapce (firma pobierająca stałą obłatę 10 cent. za każdą sztukę bagażu) wyprowadza przybysza do ujścia tunelu, gdzie zajeżdżają ogromne, o opływowych liniach, jasno-zielone lub jaskrawo-żółte taksówki. Ulice jarzą się od świateł neonowych reklam. To już nie morze świateł ale jakaś lawa świetlna. Światła skrzą się, migocą, pędzą w różnych kierunkach, pną się po fasadach drapaczy chmur. Samochód wymija inne wozy, przechodniów, zatrzymuje się na świetlnych sygnałach, znowu rusza — i wreszcie staje przed hotelem. Drobnostka: 40 pięter. Pokój jest zarezerwowany ale tylko na pięć dni. Taki przepis. Przecież dziennie przybywa do Nowego Jorku pół miliona osób, stąd konieczność ograniczenia. Pokój na 27 piętrze, trzeba jechać windą-express, bo lokalne dochodzą tylko do 20-go. Widok z okna trochę oszałamia. Wszystko wydaje się drobne, dalekie.

Pierwszy dzień w mieście utrwala początkowe wrażenia. Wszystko jest na największą skalę. Wystawy wspaniałe, obfitość wszystkiego uderzająca. Ruch całodzienny, wiele sklepów czynnych do północy. Restauracje, jadłodajnie, herbaciarnie i bary otwarte do rana. I wszędzie ludzi już nie wiele ale mnóstwo, chodniki na głównych ulicach natłoczone, jezdnie pełne samochodów. I pierwszy wieczór udowadnia że opowiadania o przestępczości i gangsterach nie są przypadkowe. Po przedstawieniu w teatrze Barrymore, w centrum Nowego Jorku wsiada nowoprzybyły do taksówki i podaje adres: 14 East 55 Street. Kierowca rusza w dół Broadway tłumacząc, że musi objechać gdyż nie wolno mu zakręcać. Objazd trwa jednak dość długo. Samochód jedzie przez piątą avenue, przejeżdża przez Central Park — który stanowczo jest znacznie wyżej niż podany adres. Szofer uspokaja, tłomaczy się, że musi objeżdżać z powodu napraw jezdni — co

ostatecznie nie brzmi całkiem nieprawdopodobnie. W końcu gdy licznik samochodu wybija $1,50 a więc sumę ogromną — kierowca zatrzymuje i wskazuje dom odległy o jakie dziesięć kroków, prosi, by mu zaraz zapłacić, bo ma mało benzyny. Zaraz potem rusza — gdy tymczasem pasażer przekonuje się, że dom ma numer nie 14 — ale 214 a sama ulica wygląda inaczej, niżby można sobie ulicę 55 wyobrazić. W tej samej jednak chwili z czarnej limuzyny, która zatrzymała się opodal, wysiada dwóch ciemno ubranych młodych ludzi, w kapeluszach może zbyt mocno nasuniętych na czoło — i jeden z nich pyta podchodząc bliżej — czy może w czym pomóc. Ta — nieoczekiwana w Ameryce — uprzejmość jest już podejrzana. Ale nie ma czasu na rozważania bo oto obaj panowie są tuż obok, a podsuwając się znacznie bardziej niż tego trzeba — mówią krótko „be quiet and give all you have". To już wygląda zbyt prosto — gdy jednak zagadnięty odpowiada wybuchem śmiechu — prawoboczny towarzysz przyciska go mocniej — i mówi przez zaciśnięte zęby: „stop kidding — or it might be serious — give what you have". Jednocześnie drugi całkiem niedwuznacznie przysuwa do boku jakiś twardy przedmiot, nie mający pozoru wiecznego pióra. Sytuacja jest jednak przede wszystkim groteskowa, gdyż wędrownik europejski ma przy sobie dosłownie $1,65. — Widząc przy tym w klapie ubrania jednego z przygodnych rozmówców oznakę zdemobilizowanego żołnierza, zaczyna tłomaczyć, że jest też wojskowym, który przybył z Europy i ma naprawdę nie wiele gotówki. To pomaga, bo chociaż w pierwszej chwili towarzysz z prawej strony zaklął i sięgnął nerwowo do kieszeni, — jednak drugi uspokoił go mówiąc: „I think it is true — he is one of this b.... English who never carry money but just a chequebook". Bez dalszego sprawdzania zawartości kieszeni, odchodzą — klnąc całkiem już głośno. Awantura kończy się więc szczęśliwie, gdyby nie to, że i dom i ulica nie są w porządku. Ale obaj młodzi ludzie nie chcą słyszeć o tym by dać „lift'a" — gdyż — jak mówią — na policję może iść sam. Więc trzeba wracać przynajmniej do najbliższej avenue, do narożnika. Tutaj okazuje się, że ulica jest nie 55 lecz 67 i przy tym nie „East" lecz „West". I cała ta rozmowa odbywa się około północy, w bądź co bądź środkowej części miasta.

Wycieczka do China-town, osiedla chińskiego w Nowym Jorku nie przedstawia żadnych trudności ani niebezpieczeństw. Nie widać tam Chińczyków w ich narodowych strojach ani domów w typie chińskim. Normalna dzielnica wielkiego miasta, lśniąca może trochę mniejszymi i skromniejszymi neonami i pozbawiona drapaczy chmur, a za to przepełniona Chińczykami w strojach, nazywanych europejskimi. Mnóstwo restauracji, pralni i sklepów z chińskimi pamiątkami, które podzielić można na ogół na dwie grupy: made in Germany i made in Japan. Chińszczyzny prawdziwej, przywiezionej z samych Chin — nie wiele.

Za to trudno znaleźć towarzysza na wyprawę do Harlem. Wszyscy twierdzili zgodnie, że wyprawa wieczorna do dzielnicy murzyńskiej jest niebezpieczna. Że grozi nie tylko gruntownym obrabowieniem ale jeszcze gorszymi przygodami. W końcu jednak złożyła się pod przewodnictwem murzyna, dawnego korespondenta wojennego w Europie wyprawa mieszana: dziennikarz amerykański z żoną, młodą studentką socjologii, Amerykanka stuprocentowego pochodzenia japońskiego i wreszcie poznający miasto Polak. Wyprawa obyła się bez przygód a odznaczała się jedynie tym, że w żadnym z barów, restauracji czy nocnych klubów nie było oprócz nas przedstawicieli rasy białej. Harlem jest dosłownie miastem murzynów i mulatów, metysów i pół-Chińczyków, ludzi wszystkich barw i odcieni lecz nie białych. Oczywiście nie szliśmy ścieżkami wydeptanymi, nie szukaliśmy tych miejsc, dokąd zwykle prowadzi się turystów. Przewodnik nasz zamieszkały i pracujący w centrum Nowego Jorku, znał jednak dobrze dzielnicę murzyńską i umiał pokazać to, co jest istotnie egzotyczne. Orkiestra i tańczący, obsługa i goście, wszystko to tworzyło jakąś odrębną masę ludzką, przedziwnie podatną na dźwięki muzyki, zapamiętującą się nie tylko w tańcu ale nawet słuchając tylko jazz'u. Od dużej sali tanecznej mieszczącej kilkaset par, poprzez mniejsze dancingi i kluby nocne dochodziliśmy w tej wędrówce do niewielkich lokali, gdzie już tylko dwie lub trzy pary tańczyły bez zmęczenia, bez żadnej przerwy z oczyma niewidzącymi niemal, obłędnie poddając się rytmowi tańca. Przewodnik nasz wszędzie miał znajomych, wszędzie znajdował dla nas miejsce.

Nie sposób wymieniać wrażeń nowojorskich, nie można

ich nawet grupować czy szeregować. Jest to możliwe tylko po pierwszych dniach pobytu — a może po piętnastu latach stałego zamieszkiwania. Ale wrażenia zamykają się ich różnorodnością, barwnością a przede wszystkim cechą, najbardziej może nowojorską — skalą wielkości. I to właśnie, to uczucie oszałamiającej w pierwszej chwili ale wkrótce bardzo mocno chwytające za serce — wielkości we wszystkich jej odmianach i przejawach — jest chyba najmocniejszym wrażeniem wyniesionym z amerykańskiej stolicy zachodniego świata.

8. DZISIEJSZA TURCJA *Kr.S.*

W czasopiśmie angielskim „British Survey", pod tytułem „Inside Modern Turkey", ukazało się na ten temat szereg ciekawych spostrzeżeń. W obecnym układzie politycznym położenie Turcji ma doniosłe znaczenie dla świata po-wojennego. Przede wszystkim krajem tym interesuje się Zjednoczone Królestwo, gdyż Turcja leży na szlaku powiązań dróg W. Brytanii z jej posiadłościami zamorskimi. Dla opanowania tego rejonu dużo chęci ujawnia obecnie imperializm Związku Sowieckiego.

———

W Turcji, w ciągu ostatnich 25-ciu lat, zaszły głębokie przemiany w każdej niemal dziedzinie życia. Cudzoziemcy, zwiedzający obecnie ten kraj, spotykają się z wyraźnymi przejawami wielkiego postępu i to na każdym kroku.

Znikły prawie zupełnie czerwone, egzotyczne fezy oraz ciężkie welony, zazdrośnie strzegące twarzy Turczynek. Córki tych, które niedawno jeszcze większość swego życia spędzały za zakratowanymi oknami haremów, są dzisiaj lekarzami, sędziami, adwokatami, czy członkami parlamentu. Droga do wszelkich zawodów jest dla nich szeroko otwarta. Obywatele dzisiejszej Turcji wyglądają zupełnie inaczej, wykazując na każdym polu wiele energii i inicjatywy. Bezpowrotnie zniknęły ślady dawnego zacofania i apatii.

W każdym prawie mieście i osiedlu wre gorączkowa pra-

ca. Powstają piękne nowoczesne budowle, wspaniałe aleje. Na miejscu dawnych tajemniczych zaułków i wąskich przejść pobudowano szerokie ulice, skwery, ogrody dziecięce i parki publiczne. W samym środku płaskowzgórza anatolijskich nieużytków, na miejscu małej, ubogiej mieściny wyrosło tętniące życiem, pod każdym względem nowoczesne miasto. Miastem tym jest Ankara, nowa stolica Turcji.

Ponad 3/4 blisko 19-sto milionowej ludności Turcji, to rolnicy. W ciągu wielu stuleci pod rządami sułtanów żyli oni w skrajnej nędzy. Brudne, ciemne lepianki, trawiąca ich malaria i ciężkie podatki, nakładane przez państwo, wyciskały na nich piętno apatii i beznadziejności. Obecne rządy republikańskie uczyniły bardzo wiele dla ulżenia doli i poprawy warunków życia tych ludzi. Chociaż stopa życiowa chłopa tureckiego nadal jest bardzo niska, jednak bezstronnie przyznać trzeba, że i na tym polu zrobiono już poważny krok naprzód. Podniesiono znacznie kulturę uprawy roli, a naród turecki jest już dzisiaj samowystarczalny, jeśli chodzi o takie produkty jak ziarna chlebowe, rośliny warzywne, owoce, chów drobiu i zwierząt domowych. Uchwalone w parlamencie tureckim, w czerwcu 1945 r. nowe prawo, dotyczące reformy rolnej, nadaje wystarczające przydziały ziemi dla przeszło miliona wieśniaków. W rezultacie wykonania tej ustawy nastąpi parcelacja około 20-stu milionów akrów wielkich posiadłości prywatnych.

Również i przemysł zachęcono do popierania wysiłków na polu rolnictwa, by w wypadku nagłych potrzeb wzmocnić bezpieczeństwo państwa. Lokalna produkcja bawełny, chów owiec i jedwabników dostarczają surowców dla przetwórni i zakładów przemysłowych, powstałych w tym kraju w ostatnich latach. Przemysł cukrowy wykazał również wybitny postęp. Uruchomiona w Karabuk brytyjska fabryka stali pracuje całą parą. Rozpracowano także plany nad ulepszeniem i rekonstrukcją kopalń węglowych w rejonie Zonguldak oraz ukończono plany nowych fabryk chemicznych i elektrowni.

W ciągu ubiegłych 22-ch lat sieć kolei tureckich wzrosła prawie dwukrotnie i wynosi obecnie przeszło 4.600 mil. Dwie nowe linie kolejowe są w rozbudowie, jedna biegnąca do granicy Persji, a druga do Iraku. Ogólny tonaż żeglugi tureckiej, chociaż mały, bo wynoszący zaledwie 145.000

tonn, jest jednak wystarczający dla zapewnienia ruchu handlowego wzdłuż własnego wybrzeża oraz do operowania na wschodnich wodach Morza Śródziemnego. Planowane jest powiększenie floty handlowej. Nie zapomniano też o rozbudowie pasażerskiej sieci lotniczej. Tureckie linie powietrzne łączą różne części kraju, a lotniska chętnie używane są przede wszystkim przez brytyjskie i amerykańskie towarzystwa komunikacji powietrznej.

Gospodarka narodowa finansowana jest przez szereg instytucyj bankowych, będących własnością, bądź też pod kontrolą państwa. Zasadniczo cały turecki system ekonomiczny oparty jest na upaństwowieniu kluczowych gałęzi przemysłu. Nie oznacza to, aby hamowano inicjatywę i rozwój prywatnych przedsiębiorstw. Kapitał prywatny ma pełną swobodę lokaty i pracy. Do spornych problemów polityki gospodarczej obecnego rządu tureckiego należy rozwiązanie pytania, czy istniejący system ma być ograniczony, czy też rozszerzony?

W dziedzinie handlu zagranicznego Turcja przeżywa obecnie dotkliwy kryzys. W części jest to spowodowane wysokimi cenami na rynkach zbytu. Turcja bowiem należy do krajów o niesłychanie wysokich kosztach utrzymania. Poza tym na stan ten wpływa jeszcze wiele innych czynników, jak wysokie taryfy wwozowe, mające uchronić rozwijające się nowe gałęzie przemysłu, ciężkie podatki i wysokie płace. Pośrednią przyczyną była mobilizacja i trzymanie pod bronią w ciągu kilku lat wojny wielotysięcznej armii tureckiej. Niepowetowanym ciosem dla Turcji jest utrata niemieckiego rynku zbytu, to też obecnie zabiega ona o rynek brytyjski i amerykański. Wysiłki te jednak — jak dotąd — są mało owocne, a to przede wszystkim z powodu wysokich cen. Tak więc Turcja, nie mając możności sprzedawania swych towarów, nie posiada wymiany i waluty zagranicznej, niezbędnej do zapłaty za nabyte dla siebie artykuły zagraniczne.

Jeśli chodzi o podniesienie stanu oświaty i kultury kraju, Turcja na tym polu wykazała znaczny postęp. Jak podaje *British Survey*, jeszcze w r. 1927, 91% ludności nie umiało ani czytać ani pisać. Cyfra ta w r. 1935 spadła do 84,5%, kiedy to porzucono alfabet arabski, a wprowadzono w życie alfabet łaciński. Jakkolwiek brak ostatnio świeższych sta-

tystyk, ogólnie oblicza się, że analfabetyzm w Turcji zredukowano znacznie poniżej 80%. Ponieważ analfabetyzm obejmował przede wszystkim ludność wiejską, rząd turecki rozwiązał ten palący problem w prosty, lecz pomysłowy sposób. Po przeprowadzeniu szeregu doświadczeń utworzono dwadzieścia t.zw. „Instytutów Wiejskich", do których uczęszczają chłopcy i dziewczęta w wieku od 15-stu do 17-stu lat. Program ich nauki obejmuje: język turecki, arytmetykę, historię i geografię, praktyczne ćwiczenia z rolnictwa i hodowli bydła oraz różne rzemiosła, specjalnie potrzebne do życia na wsi. Dla dziewcząt organizowane są kursy gospodarstwa domowego, pielęgniarstwa oraz położnictwa. Po ukończeniu nauki i zdaniu egzaminu, dziewczęta i chłopcy powracają do swych miejsc rodzinnych w charakterze nauczycielek i nauczycieli.

System takiego nauczania wśród ludności wiejskiej dał wyjątkowo dobre rezultaty, to też rząd turecki jest pełen nadziei i przewidywań, że w następnych kilku latach wyniki okażą się jeszcze lepsze. Również dobrze zapowiada się rozwój wyższych zakładów naukowych, których liczba wzrasta z roku na rok. Otworzony kilka lat temu drugi uniwersytet w Ankarze wkrótce już będzie mógł konkurować ze starym i znanym uniwersytetem w Konstantynopolu. Pamięta się także w tym kraju o różnych szkołach technicznych i te mają specjalne poparcie sfer rządzących.

W nauce języków obcych do niedawna jeszcze język francuski dzierżył palmę pierwszeństwa. Co prawda i niemiecki w ciągu ostatnich 50-ciu lat szeroko był rozpowszechniony. Obecnie ,dzięki wysiłkom British Council, język angielski jest wprowadzany niemal wszędzie. Jedenastu brytyjskich profesorów jest już lektorami na różnych uczelniach tureckich. Wielu wyższych urzędników administracji uczy się tego języka na specjalnie w tym celu organizowanych kursach. Wzrasta też frekwencja młodzieży, studiującej na uniwersytetach brytyjskich i amerykańskich. Już w niedalekiej przyszłości język angielski, narówni z francuskim, uzyska w Turcji poczesne miejsce. W dużej mierze ułatwi to cudzoziemcom, a przede wszystkim Anglosasom poruszać się swobodnie po tym kraju. Da to możność powiązania kulturalnego i poszerzenia stosunków handlowych z krajami zachodniej Europy i Ameryki.

RĘKA NA PULSIE...

Dzięki otrzymywanym codziennie wiadomościom z Polski wiemy dokładnie jakie lekarstwa i preparaty są w Polsce najbardziej w tej chwili pożądane.

Wysyłamy paczki typu "W" w cenie £4 0 0 oraz typu "A" w cenie £3 15 0, zawierające lekarstwa najbardziej w Polsce potrzebne i znajdujące zastosowanie w każdej rodzinie. Ponadto wysyłamy paczki specjalne dla osób chorych na płuca, dla cierpiących na reumatyzm i artretyzm, dla osób ogólnie osłabionych i anemicznych itp. Paczki te zawierają lekarstwa, specjalnie dobrane przeciw nagminnie panującym w Polsce chorobom i niedomaganiom.

Ponadto wysyłamy w większych ilościach poszczególne lekarstwa (wyciąg z wątroby, Calcium Gluconatum, Hemostyl, organo-preparaty, Insulinę, Coraminę, Witaminy, itp.) w paczkach sporządzanych przez firmę ASMIDAR Ltd. (Chemists).

Wszelkie bliższe szczegóły, prospekty i cenniki można uzyskać osobiście codziennie od godz. 3-6 po poł. w biurze naszej firmy, która udziela również wszelkich informacji odwrotną pocztą na każde żądanie.

EXPORT & RELIEF COMPANY

E. & R. (EXPORTERS) LIMITED

286, Terminal House, 52, Grosvenor Gardens,

LONDON, S.W.1

Telefon : SLOane 6958

BEZ KUPONÓW

Na sprzedaż odzież używana do Kraju.

Sukienki letnie i wełniane w cenie od 7/6d. do £2, kostiumy £1 do £4 10/-, płaszcze damskie 10/- do £4, ubrania męskie (w ograniczonej ilości) £2 10/- do £8, płaszcze męskie 10/- do £4 10/-, buciki damskie i męskie (w ograniczonej ilości) 2/6 do £2, swetry męskie i damskie 2/6 do 15/-, futra £1 10/- do £10 itp.

Wykonujemy zlecenia pocztowe na wysyłkę paczek odzieżowych zwykłych i ubezpieczonych. Chwilowo prosimy nie przesyłać pieniędzy na ubrania męskie. Na zapytania odpowiadamy odwrotnie. Magazyn otwarty codziennie od godz. 13-tej do 16-tej.

LAMPERT CLOTHING SUPPLY CO.,

45, Cromwell Rd., London, S.W.7

LISTA
WYDAWNICTW WŁASNYCH

Szukasz zawodu, nie wiesz czego się imać, jak zarobić na życie lub nawet zrobić majątek — kup broszurę p.t.:

JAK SOBIE WYBRAĆ ZAWÓD

cena 1/-, przesyłka pocztowa 1d.

Kup **„ŁATWY PODRĘCZNIK JĘZYKA ANGIELSKIEGO“** w 2-ch częściach—50 lekcji. Cena za część I—2/-, za część II—3/- (drugie poprawione wydanie). Obie części samouczka dają możliwości łatwego opanowania języka. Słówka (ogółem ponad 1000) podane z wymową. Łatwe ćwiczenia, możliwe do stosowania w codziennej konwersacji.

Czy masz **„MECHANIKĘ TEORETYCZNĄ“** inż. K. Bielskiego, cena 10/-?

Świetne nowelki H. Sienkiewicza **„STARY SŁUGA“** i **„HANIA“**, cena 6/6.

Jeżeli pracujesz w warsztatach lub masz do czynienia z samochodami, samolotami i innymi maszynami, przyda Ci się **„SŁOWNIK TECHNICZNY ANGIELSKO - POLSKI I POLSKO - ANGIELSKI“**, cena 4/6.

Możesz sobie wiele przypomnieć i dopomóc w samokształceniu się przez nabycie **„ARYTMETYKI I GEOMETRII“**, S. Banach, W. Sierpiński, W. Stożek, cena—5/6.

oraz **„GEOMETRII“** — Jan Zydler, cena — 3/6.

Kalendarz kieszonkowy na 1946 po bardzo zniżonej cenie 3/6 wysyłamy na zlecenie pocztowe.

Published by Erroll Publishing Co. Ltd., 40 Bruntsfield Pl., Edinburgh.
Printed by William McLellan & Co. Ltd., 240 Hope St., Glasgow, C.2.